

Perła w młocińskim buszu

Zuzanna Sobecka

I

Głaz, który stał się kamykiem

Poznałam go po słodkiej porannej melodii, którą wiatr grał na kasztanowych liściach otulających aleję. Powietrze przesycone wonią młodej wiosny spotęgowało moje zauroczenie. W oddali białała bryła o regularnych kształtach. Od frontu klasycystyczny portyk kolumnowy z trójkątnym tympanonem, na nim roślinny relief. Spomiędzy powykrzywianych gałęzi w blasku słońca migotały szaro-błękitne półtony zmurszałej dachówki. Od żelaznej, zamkniętej na kłódkę bramy prowadziły prostokątne bloki z ciężkiego ciemnopopielatego bruku, jakie stanowią codzienność chodników w miejskiej dżungli. Pięknie wyglądałby jesienią, gdyby tę szarość zamalował dywan z czerwieni i złota...

A gdyby te mury mogły mówić? Przez wieki na ich oczach musiało się rozegrać wspaniałe widowisko, które na zawsze pozostanie owiane tajemnicą. Gdyby jednak przemówiły?... Wyobraźnia niczym wprawny murarz uzupełniła brakujące cegłówki, wypełniła dziury, odarła podłogi ze zbutwiałych desek. Na mocy imaginacji w pobliskim gaju rozległ się krzyk zwierzyny łownej i huki strzałów; ziemia zadudniła od tętentu kopyt...

Ogłuszający śpiew ptaków przerwał moje rozmyślenia. Drzewa rzucały swym cieniem posępny kształt na gorący od słońca asfalt.

Dzieliło nas kilkaset metrów i tablica wzbraniająca wstępu na teren prywatny, odcinająca się na tle ciemnych konarów krwistością czerwieni. Łatwo było przeoczyć młociński pałacyk Brühla; sama zawędrowałam tam przypadkiem. Skryty w gęstwinie pod wieloletnią warstwą pyłu przed laty był sercem podwarszawskiej wsi, niegdyś urokliwej.

*

Mieszkam na Młocinach ponad połowę mojego życia, i mimo że niemal codziennie wysiadam na przystanku autobusowym „Muzealna 02” wracając ze szkoły, nigdy nie zastanawiałam się, skąd pochodzi jego nazwa. „Ktoś puścił wodzę fantazji”, myślałam, klasyfikując „Muzealną” do innych podniośle brzmiących nazw ulic w tej okolicy. Wypadała nawet dość blado na tle „Wazów”, „Królowej Jadwigi” czy „Marii Ludwiki Gonzagi”. Młocińska pustynia kulturalna nie doczekała się jeszcze swojego muzeum, i w mojej powierzchownej ocenie na takie nie zasługiwała, jako że jedynymi dwoma rozpoznawalnymi obiektami tej okolicy były stacja metra i popularna restauracja serwująca dania typu fast food. Wiosenne i letnie spaceru udowodniły mi jednak, iż spowite w mroku Kampinoskiej Puszczy Młociny kryją w sobie wiele pięknych i tajemniczych miejsc.

Tak zawitałam na skarpe wiślaną oddaloną o kilkanaście minut spaceru od ul. Pułkowej — stanowiącej przedłużenie Wisłostrady w kierunku na Gdańsk. Nad malowniczym brzegiem rzeki roi się od wodnego ptactwa, a z samej rudobrazowej piaszczystej skarpy roztacza się zapierający dech w piersiach widok na Białąłękę. Pewnego razu przywiódł mi na myśl akwarelę Zygmunta Vogela z początku XIX w., jedno z nielicznych zachowanych dzieł przedstawiających historyczne Młociny. Widok uchwycono z prawego brzegu Wisły, a więc przeciwnego do tego, na którym się znajdowałam. Na pierwszym planie rybacy w przerwie od pracy posilali się, zasiadłszy przy ognisku. Za nimi po gładkiej tafli wody sunęły żaglowce kupieckie pełne wesoło gwarzących mężczyzn. Bujne przyrzeczne listowie

mieniło się w promieniach słońca; musiał to być upalny letni dzień. Lewy brzeg ukazywał gęsto zarzewione falujące pagórki w różnych odcieniach zieleni. Gdzieś tam tylko spomiędzy rozłożystych dębów i grabów wypływały pojedyncze dachy drewnianych chat. W lewym rogu na wzgórzu wzniesiono kamienny młyn.

Pomimo tak wielu elementów krajobrazu, jedna budowla w szczególności skupiała uwagę patrzącego. Rudawy dach gładko osadzony na piaskowym korpusie otulał szmaragdowy park. Symetryczny w swojej konstrukcji pałac zdawał się górować nad lewobrzeżną skarpą. Z pewnością należał do dzieł jednego z francuskich lub włoskich architektów okresu klasycystycznego; kolejna „perła w koronie” dworów i zamków jakiegoś bogatego magnata...

Dziś nad brzegiem jej brak. Czyżby coś równie pięknego mogło przepaść na zawsze albo okazać się jedynie wizją rozmarzonego rysownika? Sprawy miały się zgoła inaczej.

Posiadłość Brühla stała tam, gdzie powinna była, choć teraz niewidoczna znad rzeki; za to odgradzona żelaznym płotem od reszty świata, ukryta za zasłoną kasztanowej alei. Należało przylgnąć do metalowych prętów i mocno wytężyć wzrok, aby w oddali dostrzec zarys kruszącej się fasady. Niby eksponat muzealny — pałac był tuż na wyciągnięcie ręki, a jednak całkowicie poza jej zasięgiem.

Tym bardziej zostało wzmocnione wrażenie tajemniczości, a moja ciekawość — w miarę upływu czasu i niszczenia zabytku — dostatecznie rozbudzona... W niewielkim stopniu zaspokoili ją blogi i fora internetowe. Postanowiłam więc zwrócić się do lokalnego domu kultury w nadziei na spotkanie z żywą historią tego miejsca i uzyskanie odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Z pomocą przyszli również sąsiedzi i dotychczas obcy mieszkańcy Młocin, dzieląc się swoimi wspomnieniami. Ze strzępów i urywków rozmów powstała mozaika wydarzeń.

*

Żeby wiedzieć o pałacu, trzeba coś wiedzieć o Młocinach. Żeby coś wiedzieć o Młocinach — o tych sprzed lat, nienaruszonych jeszcze bujnie rozrastającą się zabudową osiedlową — trzeba być tu urodzonym. W przeciwnym razie człowiek z zadartą do góry głową rozważa i dziwi się, myśląc, że to równie stara okolica jak lokalny Most Północny. Tubylcom wszystko tutaj przypomina o przeszłości: gdzie skoszony trawnik, tam stuletni dąb, gdzie podziemny basen, tam staw rybny... kolejne wille stoją na polach, gdzie nie tak dawno pasły się krowy. Od tego się nie ucieknie; człowiek zawsze będzie wracał pamięcią do tego, co mu bliskie, co zna od maleńkości.

Jednym z nielicznych świadków, któremu wryło się w pamięć kilka klisz z dziejów pałacu i jego okolic, jest pan Mirosław. Wychowany na osiedlu domów jednorodzinnych nad „Gliniankami”¹ przed sześćdziesięcioma laty darzy głębokim uczuciem Młociny jako miejsce dziecięcych zabaw i pozostałość niegdyś wiejskiego życia w stolicy².

P. Mirosław.: *Młodzi uciekają teraz ze wsi do miasta, szukają wrażeń, a mnie zatrzymał tu właśnie styl życia. Ja zwyczajnie nie nadaję się do bloków. Tym bardziej, że mieszkam na ziemi, którą przed ponad stu laty kupił mój prapradziad, a w domu, który wybudował mój dziadek.*

Pływam po Wiśle — to taka nasza rodzinna tradycja. Pamiętam, gdy zaczynałem pracę na rzece, pływały jeszcze parowce z napędem kołowym... Mój dziadek i jego stryj trudnili się rybołówstwem, chodzili zarzucać sieci na odcinku Wisły graniczącym z pałacem. Natomiast moja ciotka wyszła za człowieka nazwiskiem Brylak. Brylaki to byli ci służący niegdyś u Brühla, mieszkali niedaleko stąd, ot,

¹ Tutaj mieściła się pałacowa cegielnia, stąd nad *Gliniankami*: tam wyrabiano i wypalano glinę na cegły.

² Kiedy przyszedł na świat pan Mirosław, kilkusetletnia wieś Młociny od zaledwie ośmiu lat znajdowała się w granicach Warszawy.

przy moście. Niewiele więcej łączy mnie z tym zabytkiem, ale jakoś mi go bardzo żal... wiele budynków już stąd zniknęło i nadal znika, a we mnie budzi się patriotyzm lokalny i robię się sentymentalny.

Miałem okazję wybrać się tam niedawno z wycieczką samorządową, osoba nadzorująca nas wpuściła. Zrobiono cały szereg zdjęć... ściany ziały pustkami, z wnętrza zostało niewiele ponad piec kaflowy.

*

„Nasz młociński pałacyk ma niezwykle barwną historię. — dodaje pan Mateusz, z wykształcenia i zamiłowania historyk, absolwent archeologii na Uniwersytecie Warszawskim. Na Młocinach spędzał wakacje, a jego praca magisterska traktowała o posiadłości Brühla właśnie — W latach 50. XVIII w. wzniesiono go na polecenie ówczesnego starosty warszawskiego Henryka von Brühla. Nie dość, że wywodził się ze znamienitej saksońskiej rodziny szlacheckiej, to dosłownie urodził się politykiem. Rezolucyjność i charyzma aż biły od niego. Jako ponadprzeciętny gracz salonowy i minister — zarówno Augusta II Mocnego, jak i Augusta III — był niesamowicie wpływowy (nazywano go bowiem „prawą ręką króla”), a do tego bajecznie bogaty. Na jego majątek składały się dziesiątki zamków i pałaców w Saksonii i Rzeczypospolitej Obojga Narodów. O skali jego majątności może świadczyć fakt, iż pałac młociński został przeznaczony... dla jego wówczas jedenastoletniego syna: Alojzego Fryderyka. Tak więc w latach 1752–1758 powstała na modłę saskiego rokoka — bardzo popularnego w owym czasie — budowla na planie półksiężyca, składająca się z czterech oficyn (niestety w dużej części niezachowanych do dziś), kryta rdzawą dachówką, z murami w kolorze piaskowca. Wjazd do pałacu usytuowany był od strony Wisły, a więc przeciwnej do tej, gdzie obecnie się znajduje. Gmachu strzegły na cokółach dwa kamienne lwy, bardzo typowy element architektoniczny zabudowy II poł. XVIII w. Natomiast trudno stwierdzić, jak wyglądało wnętrze pałacu. Można jedynie domyślać się wykwinnych sztukaterii, złocień, wyśmienitych płaskorzeźb, porcelanowych figur czy marmurowych kominków na podstawie wystroju jego innych polskich posiadłości, np. okazałego pałacu niegdyś stojącego przy dzisiejszym pl. Piłsudskiego, gdzie mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych II RP...”

*

Nigdy nie przypuszczałabym, że kilkaset lat temu całe Młociny stanowiły wielki las — czy może raczej puszcę. Okolica znana była ze swojego zwierzyńca, w którym polowano na jelenie, bażanty, żubry czy danielę. Wyprawy łowieckie fetowano w pałacu Brühla, organizowano huczne przyjęcia i bale z najznamienitszymi gośćmi. Podobno sam król Stanisław August Poniatowski miał w nich uczestniczyć!

W latach 70. i 80. XVIII w. nastąpiła gruntowna przebudowa pałacu. Młody Alojzy Fryderyk, który odziedziczył po ojcu zręczność w polityce, a także starostwo warszawskie, nakazał Szymonowi Bogumiłowi Zugowi zmienić projekt Johanna Knöbla w perłę klasycyzmu. Najśmielszą decyzją było umieszczenie po przeciwległej stronie budynku wjazdu (od dzisiejszej ul. Muzealnej i Farysa). Poszerzono też ogrody, park zaś wzbogacono o pawilony; przebudowano dach. To były lata największej świetności pałacu...

Panu Matuszowi nagle posmutniał głos: „U schyłku XVIII w. Alojzemu Fryderykowi zmarła ukochana żona Marianna i jego syn. Załamany sprzedał swoje polskie urzędy i posiadłości. 1790 roku opuścił Rzeczpospolitą, by trzy lata później niespodziewanie umrzeć w drodze do Berlina. Tak oto nastąpił kres Brühlów na młocińskich włościach. A były to straszne, burzliwe czasy... Warszawa znalazła się pod berłem pruskim, później rosyjskim, Polska zaś zniknęła z map na 123 lata.

Posiadłość stała się własnością Michała Starzeńskiego, starosty brańskiego i powstańca insurekcji kościuszkowskiej, następnie przeszła w ręce bogatego Żyda nazwiskiem Schultz, a ostatecznie

trafiła do niemieckiej rodziny szlacheckiej ze Stuttgartu. Adolf de Poths jednocześnie wszedł w posiadanie dzisiejszych Młocin i Łomianek. W latach 60. i 70. XIX w. dekretem cara nastąpiło uwłaszczenie polskich chłopów, a więc w 1876 roku pałac został odłączony od majątku Młocin i sprzedany dwóm żydowskim bankierom: Hipolitowi Wawelbergowi i Stanisławowi Rotwandowi. Dwanaście lat później przebudowali go na letnią rezydencję i unowocześnili tak, że niewiele już łączyło ją z pierwotnym zamysłem Knöbla. Odbывały się tu rozmaite zabawy i dancingi. W latach 1906–1945 posiadłość należała do rodziny Grodzickich. Jeszcze przed wojną, w 1935 roku, miał miejsce pożar pałacu, ale na szczęście nie został on w dużym stopniu uszkodzony.

Grodzickim udało się wywieźć drogocenne elementy wystroju i sprzęty. Po wojnie budynek przejął skarb państwa. Choć nie ucierpiał mocno w wyniku działań wojennych, nikt o niego wówczas nie dbał. Z tego powodu w latach 1947–1949 pałac odrestaurowano; stał się siedzibą Państwowego Muzeum Kultur Ludowych...

*

Urzekła mnie również inna opowieść. Pani Elżbieta — nie ukrywając wzruszenia — wspominała dom swojego dziadka z połowy XX w., który sąsiedował z pałacem. W jej ustach Młociny zdawały się istnym rajem na ziemi, gdzie w latach powojennych próżno było szukać zmartwień. Człowiek żył blisko z naturą, otaczała go ze wszystkich stron i stanowiła integralną część jego tożsamości...

P. Elżbieta.: Ten obiekt jest bezsprzecznie godny uwagi. To, co teraz się z nim dzieje, urąga wszelkiej rzeczy określanej mianem zabytku. Teraz to odgradzona budowla, a raczej jej pozostałości. A przecież jest to przepiękne historyczne miejsce — bardzo stare — gdzie cumowały statki, i gdzie znajdowała się cała kultura muzealna tego obiektu po wojnie. Swoją drogą stąd właśnie wywodzi się nazwa ulicy „Muzealna” — bo tutaj mieściło się Muzeum Kultur Ludowych, to jest Etnograficzne (bawiłam się nawet z córką dyrektora tej placówki). Latem urządzano wystawy pływające: statek wypływał spod muzeum i zatrzymywał się w okolicznych wsiach i miejscowościach, stanowiąc atrakcję turystyczną. Ponadto, oprócz elementów polskiej sztuki ludowej, muzeum posiadało zbiory o tematyce kolonialnej, a nawet łódzie polinezyjskie.

Spędziłam tu całe dzieciństwo... lata 50. są dobrze zapisane w mojej pamięci. Tu mieszkał mój dziadek, tuż obok pałacu Brühla. Nieopodal nad „Gliniankami” (naprzeciwko nas) był piękny staw rybny. A nawet nie jeden, ale kilka; stanowiły relikty cieków wodnych leżących prostopadle do pałacu. Za czasów Augusta III biegła tędy rzeka.

Pamiętam piękne wiązy, stuletnie, na działce dziadka. Ach! co to był za dom! Śliczny, z oszklonym gankiem i drewnianą podłogą ułożoną mozaikowo na styl mazowiecki. A ten przewspaniały ogród, a w nim kremowe i fioletowe irysy (a nawet niebiesko-białe!)... Agresty starej odmiany, porzeczki: białe i czerwone, jaśminy, bzy... ach! Po prostu wszystko tam pachniało.

Ze znajomymi pływałam parostatkiem po Wiśle. Nic nie było utwardzone — żadnych dróg, jak na wsi. Młociny miały tyle uroku... lecz znikają te piękne miejsca, miejsca historyczne...

„...kiedy w latach 80. XX w. PAN przejęła pałac, rozpoczął się jego remont, a w rzeczywistości upadek — komentuje pan Mirosław — zaś w roku 1993 o pałac upomniała się dziedziczka po panie Stefanie Grodzkim, jego córka: pani Barbara. Przy drugim podejściu udało jej się odzyskać posiadłość, jednak natychmiast odsprzedała ją żonie niejakiego pana Sławomira Tomaszewskiego³, pani

³ ówczesny honorowy prezes austriackiego Forum Polonii

Józefie. Jednak po prawdzie to mąż zarządzał majątkiem, a w jego imieniu administrator nazwiskiem Domań. I zaczęła się totalna samowolka wobec pałacyku.

Przed wojną z czterech oryginalnych oficyn zostały zaledwie dwie, z których w lewą w 1939 roku trafiła bomba, a prawą nielegalnie rozebrał pan T. On nawet publicznie przyznał się do wymontowania i wywiezienia wielu sprzętów pałacowych (co ciekawe, pod pozorem zabezpieczenia majątku przed miejscowymi złodziejami). Niestety wszystko wskazuje na to, że nie sporządzono obowiązkowego protokołu zdawczego pomiędzy poprzednią właścicielką a panią T., lub takowy zaginął, co uniemożliwia stwierdzenie, jakie dokładnie sprzęty zostały przywłaszczone przez pana Sławomira.

Jednym słowem: pałacu zostawało coraz mniej.

Chodzi o to, że zgodnie z „Ustawą o ochronie i opiece nad zabytkami” nie wolno nawet wbić gwoźdza w ścianę bez konsultacji z konserwatorem ani istniejącego gwoźdza wyrwać i zabrać. Wszystko podlega ochronie. A ówczesny Zarząd Samorządu Młocin, którego wtedy byłem członkiem, i któremu zgłosiłem tę sprawę, poważnie zaniechał swoje obowiązki wobec ochrony tego obiektu.

Później doszły mnie słuchy, że pan T. chciał wybudować na terenie parku pałacowego osiedle apartamentowców. Dzięki pani Annie Wysockiej-Sójeckiej, dziennikarce „Rzeczypospolitej”, której przysługiwało prawo prasowe, w porę żeśmy to odkręcili. Drogą administracyjną zajęłoby to ze trzy miesiące, a wtedy byłoby już po sprawie. Wskutek tej afery stanowisko stracił wojewódzki konserwator zabytków — Ryszard Głowacz. Pan T. podejmował próby budowy osiedla jeszcze kilkakrotnie, ale na szczęście bezskutecznie.

Jako że biznes nie wypalił, pan T. odsprzedał pałac panu Gardockiemu, obecnemu właścicielowi...”

Pan dr. hab. Sylwester Gardocki jest prawnikiem (założycielem kancelarii *Gardocki i partnerzy*, jednej z największych w Warszawie) i politologiem. Wykłada również w Instytucie Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie jako adiunkt. Specjalizuje się w obrocie papierami wartościowymi, prawie wekslowym i czekowym. To przedsiębiorca i człowiek bardzo majątny.

Z rozmowy, którą udało mi się przeprowadzić z mecenasem Gardockim, wynika, że ma on w planach przywrócić pałac do jego przedwojennego kształtu w ciągu najbliższych kilku lat. Nie jest jednak w stanie określić, do jakich celów publicznych dokładnie ma zamiar przeznaczyć ten obiekt.

Zdaniem pana Mirosława właściciel ma jednak inne zamiary wobec pałacu.

P. Mi.: Początkowo przy zakupie w 2008 roku pałacu pan Gardocki obiecał go odbudować w formie przedwojennej: brama wjazdowa ze stróżówką, itd.... — prawda. Natomiast z upływem czasu zaczął wpadać na inne pomysły. Dokładnie chodziło o zmianę bryły architektonicznej, innymi słowy podwyższenie budynku o jedno piętro. Chciał tam rozkręcić działalność gospodarczą. Jednak nie pozwoliła mu na to pani Jezierska, następczyni pana Głowacza. Pan Gardocki natychmiast po otrzymaniu decyzji administracyjnej w sprawie pałacu odwołał się od niej. Ale trzeba mu przyznać, że przynajmniej zabezpieczył to, co jest, przed niszczeniem — powymieniał rynny, uszczelnił dach, przykrył lwy przed wiatrem i deszczem...”

Poprosiłam pana Mirosława o przybliżenie mi szczegółów incydentu, który miał miejsce na przełomie 2012 i 2013 roku, kiedy o pałacyku (chyba po raz pierwszy na taką skalę) zrobiło się głośno w stołecznych mediach. Sprawa dotyczyła wybicia szamba, które załało pałacowy park.

„...ach, to ma podłoże jeszcze w rządach pana Tomaszewskiego, który zgodził się na przeprowadzenie odprowadzającego nieczystości rurociągu pod działką pałacową. Rura była bardzo wyraźnie zaznaczona na wszystkich planach, więc pan Gardocki z pewnością wiedział o jej istnieniu, kupując pałac. Natomiast później wydarzyło się coś bardzo przykrego: nakazano zaślepić rurę, tak aby

szambo zalało osiedle nad „Gliniankami”. Mówiono, że to zwykły wypadek, usterka w przepompowni, ale moim zadaniem było to działanie naumyślne w celu uzyskania odszkodowania za to, że rura leży w gruncie pałacowym. Traf jednak chciał, żeby szambo zalało działkę pana G. Myślę, że nie muszę tłumaczyć, jak niekorzystny wpływ miało to na ponad 250-letnią budowlę... Wielka szkoda, bo można było to załatwić drogą prawną, a nie w taki sposób. Najgorsze jest to, że ten wylew szamba bardzo utrudnił życie okolicznym mieszkańcom: fetor nie do opisania! Urzędnicy Wydziału Ochrony Środowiska twierdzili, że mieli związane ręce; bo to teren prywatny, a więc potrzebna była zgoda właściciela na wejście na jego działkę... tak więc zanim usunięto nieczystości, minęło sporo czasu.

Ale swoją drogą zdaje mi się, że pan G. kupił niejako kota w worku. Bo prawda — działka i pałac piękne, ale ten teren jest bardzo kłopotliwy. Same problemy, i to bardzo kosztowne... Przykładowo ciągle zalewa mu wał przeciwpowodziowy; poza tym mógł tam sobie chodzić, jak chciał. Dlatego nie dziwię mu się, że ogroził się (włączając ten wspomniany wcześniej wał przy skarpie, szlak turystyczny i dojazd rowerowy do promu po Wiśle). Bo on chciał, żeby miasto to od niego odkupiło, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi od urzędu wojewódzkiego.

Nie dziwię się, ale... ale to nie zmienia innej kwestii: że to nie jest już takie samo miejsce... Kiedyś Młociny były wspólne, wszyscy i wszystko razem, o sąsiada dbało się jak o brata, a dziś ludzie tylko stawiają płoty. Kiedyś domy były pootwierane, odwiedzaliśmy się o każdej porze dnia i ufaliśmy sobie nawzajem; teraz same twierdze z podwójnym murem, pozamykane na cztery spusty.”

Było słoneczne niedzielne popołudnie. Powietrze jeszcze chłodne, ale już przynosiło przedsmak długich spacerów w parku. Tymczasem po drugiej stronie okna, we własnym salonie, siedziała moja sąsiadka — pani Dominika, z którą właśnie rozmawiałam przy herbacie. Miłośniczka antyków od pewnego czasu skarżyła się na opłakany stan, w jakim znajduje się pałac i jednoczesny brak zainteresowania tym problemem zarówno władz, jak i mieszkańców Młocin... Dokładnie od jedenastu lat, czyli odkąd zamieszkała z mężem na osiedlu przy ul. Heroldów. W początkach lat dwutysięcznych działalność człowieka nieznana była jeszcze tutejszym rozległym polom i łąkom; okolica wolna od zgiełku. Szum listowia, dziś zagłuszany warkotem silników, utulał do snu — wtedy zdawać by się mogło — ostatni blok Warszawy, niczym murem odgradzony przez nieprzemierzony przedsiónek Kampinosu.

Dziś zaś jak grzyby po deszczu w miejsce drzew wyrastają murowane giganty...

P. Dominika.: Oboje pochodzimy z Puszczy Izabelińskiej, więc rzeczą naturalną było osiedlić się tutaj. Nic z resztą nie łączyło nas z innymi częściami Warszawy, a Młociny były naprawdę cudowne. Pałac zaś odkryłam dosłownie zaraz po przeprowadzce podczas spaceru. Bardzo zafrapował mnie ten budynek i chciałam dowiedzieć się, co to jest. Próżno było szukać na ten temat stron czy artykułów, jako że wtedy Internet dopiero zaczynał się rozwijać. Więc o pałacu Brühla wiedziałam i wiem tyle, co z opowieści moich starszych sąsiadów. Mówili, że zabytek niszczeje od wielu lat, a jego historia jest bardzo zawiła, ale ujmująca. Podobno nawet nazywano go „Wilanowem Północy”!...

Od kiedy tu mieszkam, nie widziałam żadnych zmian w tym budynku: nieprzerwanie niszczeje. Bardzo nad tym ubolewam... nie chcę zagłębiać się w papierologię, ale to naprawdę przykre, bo właściwie wszędzie, na świecie, w Europie, takie zabytki są rewitalizowane i jest jakiś pomysł na ich wykorzystanie. Jednocześnie przywodzi mi na myśl pewną wyśmienicie zachowaną budowlę nieopodal Opery Wiedeńskiej, ale to całkiem inna historia...

„...tak jak mówię, na początku była radość, że pan Gardocki to kupił, bo miał zamiar przywrócić pałac do stanu sprzed wojny — wtrącił pan Mirosław — ale później chciał, dajmy na to, wybudować sobie lądowisko dla helikopterów! Zniszczył także fragment oryginalnych fundamentów budowli. Cho-

ciaż w większym stopniu przyłożyła do tego rękę pani Nekanda-Trepka, ówczesna stołeczna konserwator zabytków (zwana przez społeczników „niszczycielem”)... na szczęście znów z pomocą przyszła pani Jezierska, która, moim zdaniem, została dosłownie powołana do swojego zawodu.

Bo wie pani, Samorząd od dwóch kadencji walczy o pałac, i na ten moment nic więcej nie da się zrobić ponad to, co już żeśmy osiągnęli. Po prostu wszystko rozbija się o złe prawo...”

II

...przez szkiełko od lunety

„...każdy wie, w jakim tempie działają polskie sądy administracyjne. Widać tu ewidentny brak chęci do współpracy ze strony pana G., przez co sprawa trwa latami.” — dodał po krótkiej chwili zastanowienia pan Mirosław.

Chcąc przekonać się o rzekomej bezsilności prawa wobec ochrony pozostałości po naszych przodkach, postanowiłam spotkać się ze stołecznym konserwatorem zabytków, panem Michałem Krasuckim⁴.

Z. S.: Czy odkąd objął pan obecne stanowisko w 2017 roku, miał pan do czynienia ze sprawą pałacu Brühla na Młocinach?

M. K.: Tak, sprawa ta jest mi dość dobrze znana. Właściciel w ostatnich latach próbował otrzymać zgodę na zabudowę działek sąsiadujących z pałacem, będących w jego posiadaniu. Z tego, co wiem, chce wybudować w pobliżu pałacyku osiedle mieszkaniowe.

Z. S.: Z rozmowy z panem Gardockim wynika, że ma on w planach za 2–3 lata odremontować pałac tak, aby przywrócić go do stanu sprzed wojny. Mógłby się pan do tego ustosunkować?

M. K.: Z tego, co słyszałem, kiedyś były inne pomysły: żeby pałac nadbudować: żeby mu dostawić jeszcze jedną kondygnację i zmienić dach, na taki o większym kącie nachylenia. Jestem bardzo sceptyczny co do tego, bo pałac ma taki kształt, jaki powinien mieć. Zawsze sporym problemem jest, czy względy konserwatorskie i potrzeby właściciela się pokrywają. Jeżeli pan G. chciałby podjąć renowację, to zawsze może wystąpić do miasta o środki na dofinansowanie, i takie środki najpewniej byłyby mu udzielone — nawet spore. Więc tak, jesteśmy gotowi na to, żeby w każdej chwili wesprzeć finansowo remont pałacu.

Jednakże bez względu na wszystko właściciel musi go remontować; pałac nie może popadać w ruinę, bo jest obiektem zabytkowym. Na właścicielu ciąży odpowiedzialność utrzymania go w należytym stanie i po prostu on to musi robić.

Z. S.: A co się dzieje, jeżeli tak nie jest?

M. K.: Konserwator po przeprowadzeniu kontroli może mu nakazać wyremontować pałac albo może nawet dojść do sytuacji, gdzie ten remont zostanie za właściciela wykonany, a jego kosztem obciąża się jego samego. Ale to jest bardzo długa żmudna procedura. To nie jest takie proste; pan G. ma na pewno rozpoznanie w tym temacie prawnym; także to nie są rzeczy, które dzieją się natychmiast.

Z. S.: Czy na dzień dzisiejszy stołeczny konserwator zabytków może cokolwiek jeszcze zrobić w tej sprawie?

⁴ Wywiad został przeprowadzony 2 maja 2019 r. w Biurze Stołecznego Konserwatora Zabytków w Urzędzie Miasta w Warszawie.

M. K.: Niestety nie: my już od dwóch lat nie możemy przeprowadzać tam kontroli, obecnie zajmuje się tym wojewódzki konserwator zabytków. Możemy za to dać dotacje. Jak już wcześniej wspomniałem, wystarczy, że właściciel złoży wniosek o środki; raz do roku są u nas konkursy, także można uzyskać dofinansowanie...

Z. S.: Czy pana zdaniem mieszkańcy Młocin mogliby w jakiś sposób wpłynąć na właściciela?

M. K.: Zawsze mogą domagać się remontu, domagać się udostępnienia obiektu. Bo pałac na Młocinach jest jednym z warszawskich zabytków znajdujących się w dużym zespole parkowym; dopóki jest zamknięty dla społeczności, to nikt nawet nie wie od jego istnienia (o czym zapewne zdążyła się już pani przekonać). Tak więc pytanie brzmi, ile osób tam kiedykolwiek weszło⁵, kiedykolwiek go zobaczyło... zawsze trzeba dążyć do tego, aby takie zabytki udostępniać. Mieszkańcy powinni dopominać się, prosić — gdzie tylko to jest możliwe. Że chcieliby, żeby to miało jakąś użyteczność społeczną, publiczną.

Inną kwestią jest, czy pan G. byłby skłonny swoją nieruchomość udostępnić. A zdarzały się takie przypadki, że mieszkańcy wywalczyli sobie remont. Na przykład pałacyk Konopackiego na Pradze: ze względu na duży nacisk ze strony społeczności lokalnej w tej chwili trwa tam renowacja i adaptacja na dom kultury. Finanse nie stanowiłyby tu przeszkody.

*

P. D.: *Czy miałabym jakiś pomysł na zagospodarowanie tej budowli? Oczywiście! chyba z milion pomysłów na wykorzystanie czegoś tak pięknego! Jako wielbicielka antyków widzę tam cudowne meble, parkiety, obrazy... Przykładem Wiednia, w którym się urodziłam, i gdzie często bywam, takich pałacyków jest mnóstwo. Wspominając o jednym z nich, miałam na myśli Dom Palmowy⁶, bo tamten również leży w sercu ogromnego parku. Odbывают się tam koncerty, a w samym pałacu urządzono ogród botaniczny i motylarnię. Za naprawdę niewielkie pieniądze można zobaczyć piękne egzotyczne okazy. Na zewnątrz, między drzewami, rozwieszone są hamaki. Odwiedzający chętnie przychodzą tam w przerwie od pracy. Nikt tam nie śmieci i ludzie wracają tłumnie, bo to cudowne miejsce na łonie natury. Czemu więc i u nas by czegoś takiego nie zorganizować?*

W parku można by stworzyć podobny ogród botaniczny! Koncerty smyczkowe na świeżym powietrzu w letnie popołudnia, gustowna kawiarnia — takie miejsca zawsze cieszą się dużym powodzeniem i nigdy nie świecą pustkami — może centrum konferencyjne... Tu brakuje takich miejsc, wiele osób podziela moje zdanie. Na Młocinach jest ogromna społeczność młodych ludzi, ich na pewno przyciągnąłby pałac. Warszawa była przecież niegdyś jednym z najpiękniejszych miast Europy — nadal jest — więc powinniśmy robić wszystko, żeby ratować takie zabytki. Ubolewam nad tym, że do tej pory nikt się tym nie zajął.

P. E.: *Ja od zawsze powtarzałam: płakać się chce, że nie potrafimy umiejętnie spożytkować tego, co mamy. Tu przecież mogłaby egzystować jakaś restauracja z regionalnymi daniami, na pewno ożywiłaby okolicę. McDonald's zabrał już nam sporo z tej regionalności... Gdyby znalazł się jakiś pasjonat, który w taki sposób chciał zagospodarować ten obiekt... och! byłoby to naprawdę z wszech miar wspaniałe.*

P. Mi.: *Dopóki to będzie w rękach prywatnych, ale nie kogoś, kto ma serce dla zabytków, nie ma szans na jego odratowanie. Albo pasjonat to odremontuje i tam zamieszka, albo przejmie to skarb*

⁵Co obecnie jest niestety niemożliwe

⁶Org. Das Palmenhaus. Stanowi część kompleksu ogrodowego Burggarten sąsiadującego z dawnym dworem cesarza Austrii.

państwa i robi coś związanego z kulturą — na przykład centrum wystawiennicze lub koncertowe (broń Boże przeznaczać na jakąś knajpę!). Nie widzę żadnej innej możliwości.

P. D.: Myślę, że to po prostu biurokratyzacja i zła wola. Nie wierzę, żeby w dzisiejszych czasach nie znalazły się pieniądze od prywatnych inwestorów lub z Unii. Nie widzę żadnego rozwiązania dla tej sytuacji, dopóki pałac jest w rękach prywatnych. To jest jakieś celowe działanie kogoś, kto chce zrujnować zabytek do tego stopnia, żeby nonsensem była rewitalizacja kupki gruzu. To zmarnieje prędzej czy później, jeżeli nie przejdzie pod opiekę państwa. Myślę, że ten plac jest na tyle atrakcyjny, że biznes zwycięży. To celowo ma się obrócić w ruinę, aby zwolnić działkę deweloperowi i postawić jakiś luksusowy apartamentowiec. Taka jest prawda; wszystko na to wskazuje. Zwyczajnie brak tu dobrej woli.

A przecież tu mogłyby być organizowane lekcje historii dla dzieci z lokalnej podstawówki, czy też biologii — aby poznały lepiej młocińską przyrodę (jako mama z doświadczenia wiem, jest to potrzebne, bo nie uczą takich rzeczy w szkole...) . Albo warsztaty z kimś interesującym — teraz jest mnóstwo ludzi, którzy chętnie dzielą się swoimi pasjami...

Tymczasem pałac jest tak blisko, ale tak daleko od zainteresowania.

*

Z. S.: Dlaczego, pana zdaniem, sprawa pałacyku Brühla stoi w miejscu od 11 lat?

M. K.: Nie wiem, to jest pytanie do właściciela. Właściciele zabytków prawie zawsze chcą wycisnąć jak najwięcej ze swojego budynku i pod różnymi pretekstami chcą go rozbudować albo nadbudować, albo coś zbudować na działce. I najczęściej do momentu, kiedy nie uzyskają wszystkich na to zgód, w ogóle w obiekt nie inwestują. A na remont zawsze można dostać pieniądze, i to w każdej chwili.

W przypadku Młocin ten spór z właścicielem dotyczy, jak już wcześniej mówiłem, terenu przyległego do parku [poza ogrodzonym placem]; jest elementem otoczenia parkowego. Pan Gardocki uważa, że nie jest, my że to jednak jest istotna część tegoż parku.

Z. S.: Czy myśli pan, że dobrym rozwiązaniem tej sytuacji byłoby odsprzedaż pałacu miastu?

M. K.: Miasto niestety nie ma pieniędzy, żeby od tak sobie kupować nieruchomości. Jest przecież wiele kamienic — nieruchomości użytkowych, wciąż zamieszkałych — o które musi zadbać w pierwszej kolejności. Natomiast jeżeliby kiedyś istniała taka możliwość, na pewno byłoby to korzystne, ponieważ Samorząd z pewnością znalazłby jakiś pomysł na zagospodarowanie takiego obiektu. A jeżeli nie Samorząd, to może ktoś inny. Podejrzewam, że takich instytucji lub osób, które chętnie kupiłyby tę nieruchomość, byłoby sporo.

Z. S.: Czy odremontowany pałac mógłby wpłynąć na wzrost popularności Młocin?

M. K.: Jakby to otworzyć, to tak, na pewno wzbudziłby duże zainteresowanie. A park pałacowy powinien funkcjonować jako park publiczny — prywatny, ale otwarty — i wtedy zupełnie miałoby to inny charakter.

Z. S.: A czy sam właściciel, pan G., mógłby czerpać z tego korzyści?

M. K.: Oczywiście. Na przykład takie parki zawsze są udostępniane na różnego rodzaju sesje zdjęciowe, wydarzenia... no i choćby z tego tytułu można by pobierać opłaty. To z pewnością zrobiłoby pałacowi i jego pięknemu otoczeniu świetną reklamę. W samym budynku można by zaś uruchomić jakieś funkcje restauracyjne... tylko trzeba mieć pomysł na to. Takie pałace są remontowane, parki rewaloryzowane, udostępniane publicznie, a przy okazji właściciele też z tego korzystają.

Z. S.: Czy dotacje otrzymane od miasta w dużym stopniu mogłyby pokryć koszt remontu?

M. K.: Dotacje musiałyby oczywiście być rozłożone w czasie, ale zwykle pokrywają one 50–60% kosztów renowacji.

Z. S.: A czy na ten cel można by było otrzymać jakieś dotacje unijne?

M. K.: Raczej nie, ale środki z Ministerstwa Kultury jak najbardziej; od wojewódzkiego konserwatora też. Bo wszędzie tu są pieniądze, tylko trzeba o nie wystąpić. Łatwe to nie jest, ale i nie bardzo trudne. Trzeba zebrać odpowiednie dokumenty, pozwolenia na remont i wtedy ubiegać się o dofinansowanie. Sam wniosek nie jest skomplikowany. Grunt to zaangażowanie i determinacja.

*

Spacerowałam nad „Gliniankami”, jednej z najstarszych części Młocin. Zdążyłam już minąć ogrodzenie i tabliczkę, ale myślami byłam w pałacowym parku; wyobrażnia nasłuchiwałam śpiewu nadwiślańskich ptaków wzbijających się do lotu w koronach drzew. W uszach jednak dźwięczały mi słowa: strzępki rozmów i wspomnień, opowiadań i historii... jakby wyryte w mojej głowie:

*„...w krajach cywilizowanych prawa własności
powinny być bardziej ograniczone dla dobra ogółu...”*

*„...trzeba zmienić prawo ustawowe, tak aby dawało
znacznie szersze uprawnienia konserwatorskie...”*

*„...należałoby także skrócić procedury,
bo ten upływający czas wcale nie służy zabytkom...”*

Sylaby i dźwięki wypełniły całą przestrzeń dookoła mnie. Cofnęłam się kilka kroków, aby uchwycić choć błysk dachówek, choć fragment deszczulki, choćby rynnę; nasycić się zapachem kwitnących kasztanowców.

Znów stałam pod bramą, przed tablicą, na skraju alei, pod rozłożystym liściem. Wzbudziło się we mnie podobne uczucie do tego, gdy jako mała dziewczynka chodziłam między kłatkami w ogrodzie zoologicznym, i ilekroć przechodziłam obok terrarium pewnej egzotycznej jaszczurki, nigdy nie mogłam jej wypatrzyć, choć wcześniej wiele razy pokazywano mi ją na zdjęciach...

Wieczorową porą po ziemi kładły się cienie, malując przy tym kształty impresjonistycznej myśli. Aura miejskich światel nadawała im jakieś nowe imiona, tak więc blok stawał się warownią, krzak róży posępnym strzelcem, a samochód machiną obłączniczą. Oko lampy stołowej na ostatnim piętrze mrugało przez grube szkło okienne, niczym latarnia morska blaskiem naprowadzała floty ciem gnieźdzących się w zakamarkach klatek schodowych. Uspiona sypialnia Warszawy miarowym oddechem odpływała w świat nieznanych fantazji — tylko to dawało jej wytchnienie od codziennej gonitwy myśli.

Nocą, w atmosferze marzeń, pałacyk Brühla zaś mierzył 69 metrów; wyrzeźbiony w 800-letnim drewnie spokojnie górował nad okolicą. Bo choć w rzeczywistości nie może równać się paryskiej Katedrze Najświętszej Marii Panny, obie te budowle służą za przykład ludzkiego stosunku do zabytków.

Serce wielkiego francuskiego prozaika krajało się na widok zmarszczek i szram starożytnej budowli zadawanych przez wieki ręką człowieka. Ostatecznie jego starania spotkały się z zaskakującym

odzewem społecznym; XIX-wieczni paryżanie po raz pierwszy w historii zauważyli, że pozostałości po przodkach — zwłaszcza o tak wielkiej wartości kulturalnej — zasługują na należyłą troskę i ochronę. Dzięki Wiktorowi Hugo katedra Notre Dame pozostała ewenementem na skalę światową, choć niewiele brakowało, by popadła w ruinę.

Współcześnie, gdy niszczycielskie płomienie zadały jej najsilniejszy, omal druzgocący cios, nie mam wątpliwości, że kiedyś, wspólnym wysiłkiem, francuska królowa kościołów na nowo powstanie ze zgliszczy. Złudną jednak wydaje się na nadzieja, że wkrótce odrodzi się i młociński pałac... tutejszy busz obrósł go zbyt gęsto.

Żywiotowość natury odzwierciedlona jest w ludzkich realiach: zawiliły gąszcz przepisów prawnych onieśmiela, a nawet zniechęca do postawienia pierwszego kroku, aby go przemierzyć. Busz jest dziki i nieokiełznany, to królestwo zaprawionych w boju zdobywców lub wytrwałych poszukiwaczy.

Stwierdzenie, iż „winne jest prawo” zbyt łatwo jednak ściąga z nas odpowiedzialność i zapewnia dobre samopoczucie oddalenia problemu. Ale czy prawa nie tworzą ludzie? Czy nie jest tak, że to *my* wybieramy jednostki lub grupy, które reprezentują nasze interesy na poszczególnych szczeblach władzy, w tym władzy ustawodawczej?

Nie może jednak walczyć zgodnie z prawem i o kształt prawa ten, co ma grząski grunt pod stopami. Już dawno spłycały się nasze korzenie; nasz związek z poprzednimi pokoleniami i ich twórcami wydaje się bardziej sentymentalny niż materialny, m.in. wskutek zerwania więzi z ojczyzną urodzenia i brak relacji z nową w wyniku migracji. Przeszłość wymaga od nas poświęcenia czasu, uwagi i zaangażowania. Brak chęci wydatkowania tych zasobów u napływowych mieszkańców tutejszych bloków i malejąca liczba miejscowych powoduje, że w niezmałconej ciszy i ukryciu niszczy młocińska perełka...

Pytań i dylematów jest wiele. Co jest ważniejsze: dobro wspólne czy interes osobisty? Jak wyważyć potrzebę ochrony zabytków, spuścizny po naszych pradziadach, i ochronę własności prywatnej — podstawowego prawa demokratycznych społeczeństw? Czy jedno można (lub powinno się) egzekwować kosztem drugiego?...

Zdaje się, że nie da się udzielić prostych odpowiedzi na trudne pytania. Każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu kreuje rzeczywistość, w której wszyscy się poruszamy. Mój pierwszy krok to spojrzenie w gęstwinę na to, co było, a czym już nie jest. To przywilej odkrywcy.

Następny krok wymaga odwagi zdobywcy.